ANTENA LITERACKA

Nr 1 maj 1929 cena 50 gr.

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Kraków, ulica Grodzka L. 63, II. piętro.

MY.

Nie dzwonił nam u kołyski — za spuszczoną roletą
tramwaj pędzący ulicą — ni łomot aut nie dudnił,
ale nam świerszcze grały na dźwięcznych kastanjetach,
gdy w drzwiach naszego domu stało upalne południe.
Tłukł się Wam w uszach gwizd fabryk, jak brzękliwy pocisk,
gdyście na dusznych plantach bawili się dziećmi,
wiosna na nas patrzała przez palce z stokroci,
i łąki dla nas płynęły mlekiem rzeżuch i miodem złotych knieci.
Nie cieszyły nas róże, za drutami pachnące na skwerach,
ni wróble świergocące z rynien szczebiotany koncert —
nam się rokrocznie las w zielony płaszcz ubierał,
i błyskał miedzią sosen w zachodzącem słońcu.
Latem, wśród zbóż ciekących zgiełkliwie, jak woda,
pod strzechą nieba tkuną z prosta ze świetlistych kiczek,
Pan Bóg w zgrzebnej koszuli — jak dobry gospodarz —
mełł w żarnach dni, godziny, jak ziarna złocistych pszeniczek.
Nieraz, wśród dnia, gdy świat się nurza w jasnych świateł mącie,
i pachnie wokół tatarka, — cała w szemrzących pszczołach,
spojrzy na nas znienacka źrenicą w trójkącie
Wieczność z pod kalenicy wiejskiego kościoła.
. . . .
Nie nęcą nas maszyny, obcym rytmem dudniące codziennie,
ni żywioł ruchu zachwyca w transmisjach tętniący —
Plenimy się, jak zboże na Twych łanach, Ziemio,
kwitnąca Wiecznością i Bogiem, jak sierpień światłem i słońcem!
Ale... czasem, gdy wiatr zadzwoni w słupach telegrafów,
i w mrok pokoju spłynie radjo-koncert —
śnisz się — na Drodze Współczesności płonący semafor,
Miasto, — życiem, jak niebo gwiazdami szumiące.

Kazimierz Skowroński.

TENIS.

Spracowane ręce
pod żarem słońca
żytnie kłosy zbierają
bez końca, — bez końca.

W warsztatach —
w skwarne południa,
oblepione potem i brudem,
plecy robotników
prostują się z trudem —

Codzień od rana,
w cieniste popołudnia,
po czarnej kawie i torcie,
rakietami podbijacie piłkę.
Skaczą smukłe nogi na korcie,
migają z pod sukien różowe kolana
i opalają się na słońcu
delikatne, pieszczone ręce.

Za siatką chłopiec ubogi,
stoi i patrzy —
nienawiść radość śledzi —

Po dobrym obiedzie,
panie i panowie
rakietami migają
(żołądki pełne —
smukłe nogi —
różowe kolana —
delikatne, pieszczone ręce).

Ludzie na rżyskach
pod żarem słońca
niezgrabione, żytnie kłosy,
zbierają bez końca —

i w skwarne południa
prostują się z trudem,
oblepione potem i brudem,
plecy robotników.

Przyjdzie dzień wielkiego krzyku —
łuna na nieba stropie —
wyprostują się grzbiety,
ręce spracowane
odrzucą rakiety
z pustego, czerwonego kortu —
i obdarty chłopiec,
zagwiżdże na palcach
Marsyljankę — —

Mieczysław Wojtaszewski.

Zygmunt Leśnodorski.

Szał Dionizyjski.

Fryderyk Nietsche, w zakresie zjawisk, które zazwyczaj nazywamy określeniem s z t u k a wyróżnił specjalną jedną kategorję, w przeciwstawieniu do całej reszty, kategorję, którą za specjalnie powołaną i dostojną uważał. T w o r z e n i e, — w tem rozumieniu, — to potężna, nie znająca żadnych ograniczeń potrzeba, dążąca ekspanzywnie do wybuchowego wyładowania najistotniejszej treści psychicznej w formie, modelowanego umiejętnością techniczną dzieła sztuki. — Tego rodzaju rozkosz twórcza, oraz rozkosz przeżywania wrażeń w bezpośrednim kontakcie z formą doskonałego piękna, nadaje sztuce, w oderwaniu od racjonalnych, zewnętrznych przeżyć, — ekstatyczną, religijną wprost wartość. Sztuka, tak pojęta, staje się wyładowaniem mistycznego natchnienia, staje się religijnym obrzędem podobnem do dionizyjskiego misterjum w dawnej helleńskiej epoce.

Tak wysoką i dostojną wartość nadawał Fryderyk Nietsche z całego repertuaru dziewięciu muz, jedynie muzyce. Stawiał więc tę najbardziej subjektywną, najbardziej arystokratyczną, najbardziej bezpośrednią formę piękna na osobnej platformie, postawionej ponad każdą inną formę tworzenia artystycznego.

Takie rozumienie najistotniejszych wyrazów potrzeb duszy ludzkiej jest słuszne, — lecz o tyle za ciasne, o ile poglądu powyższego nie rozszerzy się na inne pola twórczości, — na bliska muzyce lirykę, na poezję wogóle, — a także na sztuki plastyczne, szczególnie malarstwo, które dopiero wtedy zaczyna postępować w kierunku ideału prawdziwego piękna, kiedy przestaje być bezmyślnem kopjowaniem w myśl pewnych zasad i recept, — a staje się wyrazem szczerego wewnętrznego przeżycia, realizującego się w odpowiednich formach.

Tak tworzyli swe dzieła wielcy artyści Renesansu, dla których rozkosz twórcza była natchnieniem i religją. — Znamy nazwiska mistrzów, którzy potrafili jeden obraz malować latami, w odosobnieniu od świata, dążąc drogą najbardziej mozolnych trudów, do najwierniejszego oddania tego, co czuli, czego chcieli. (Powyższy system cytowałem dla przykładu, wcale zresztą nie uważając go za warunek, specjalnie godny naśladowania).

Jeżeli zaś zastanowimy się nad sztuką plastyczną doby obecnej, to i tutaj znaleźć możemy, wiele wypadków idealistycznego stosunku do sztuki, o ile dany artysta nie jest zmanierowany różnemi ekscentrycznemi kierunkami, lub niewolniczem naśladowaniem modnych wzorów.

Na takiem tle, jasno zarysowuje się zagadnienie istoty sztuki w stosunku do życia zewnętrznego.

Młoda Polska, która kultywowała swoje ideały w cieniu czarnej peleryny wielkiego twórcy Zaratustry, — doprowadziła wyeliminowanie wszelkich pierwiastków utylitarystycznych i tendencyjnych z zakresu twórczości, czyli hasło s z t u k i d l a s z t u k i do absurdu. — Skrajna dążność do zrzucenia wszelkich więzów i ograniczeń wywołuje jeszcze ściślejsze ograniczenia i zacieśnienie. Tworzenie jest odzwierciedleniem wewnętrznego stanu duchowego jednostki, lecz jednostka nie może istnieć jako element samotny, wyodrębniony od gromady ludzkiej i społeczeństwa, którego jest integralną cząstką, którego interesy są jej interesami, i naodwrót. — Natchnienie jednostki jest inspirowane formą stosunku jej do świata zewnętrznego, to też konkretną prawdą, wynikającą z elementarnych podstaw socjologji jest fakt, że sztuka jest odzwierciedleniem prądów i haseł danej epoki, danego środowiska, danego społeczeństwa.

Rozwój ekonomiczny XX-ego wieku, przewroty socjalne i polityczne, wielka wojna i jej następstwa, wysunęły na pierwszy plan ogólnoludzkich zainteresowań zagadnienia państwowe, społeczne, zagadnienia walki klas. — Na tem tle powstaje prąd, diametralnie przeciwny hasłom antyutylitarystycznym, prąd, uznający w sztuce jedynie tendencję. Oczywistem jest, że podobna idea, doprowadzona do krańcowości znów zacieśnia sztukę, zamieniając ją poprostu w okrytą pozorami artyzmu propagandę pewnych systemów.

Dla istoty sztuki nie to jest charakterystycznem, czy, i jakie tendencje reprezentuje, jaka jest jej zasługa historyczna lub aktualna, kim jest twórca, — lecz jedynie bezwzględna jej wartość — niezależne piękno. Rzeczywistość narzuca na nas więzy cywilizacji, która każe nam postępować pewnemi dokładnie wytyczonemi torami cywilizacji, która nas wiąże konkretnemi formami i normami. Wyłamanie się z pod tych reguł równa się z zerwaniem praw społecznych, które każdą jednostkę obowiązują, bez względu na jej wolę. Jednym z celów sztuki, jest właśnie wyzwolenie m y ś l i z tych więzów, które nam narzuca konkretna rzeczywistość dnia. Sztuka jest kontemplacją piękna, bez żadnych zewnętrznych ograniczeń, jedynie w ramach indywidualnych prawideł osobistych, które są w sztuce tem, co nazywamy formą, bez czego każda twórczość stałaby się chaosem.

Jedynym postulatem sztuki jest p r a w d a.

Wszelkie sztuczne, propagandowe, nie oparte na wewnętrznem przekonaniu tendencje, — wszelkie silenie się na niezwykłość lub rozgłos, gonienie za efektem, niebotycznie rozpanoszone współcześnie a u t o r e k l a m i a r s t w o, chorobliwa grafomanja, poetycka megalomanja różnych domorosłych lub niedorosłych poeciąt, pozowanie się w szatę pięknych słów, które nie potrafią jednak pokryć wewnętrznej pustki myślowej, pisanie wierszy j e d y n i e dlatego, że się je pisać mniej lub więcej dobrze u m i e, malowanie obrazów j e d y n i e dlatego, że się mniej lub więcej dobrze malować u m i e, — wszystko to sprowadza sztukę z wysokich mistyczno-religijnych wyżyn na platformę codziennych interesów, ulicznej popularności, literackiego snobizmu, żądzy rozgłosu.

Współczesna twórczość poetycka przedstawia się jak wielki złom granitu, rozbity na tysiące okruchów. Wszystko można powiedzieć o dzisiejszem społeczeństwie, tylko nie to, że w swem łonie posiada za mało poetów.

Jeżeli rozglądniemy się wśród tej rozległej poetyckiej produkcji, to przedewszystkiem wyeliminować będziemy musieli wiele utworów, będących dziełem ludzi, którzy wprawdzie piszą wiersze, — lecz wcale nie są poetami. A pozatem? — Pozatem jest wiele, wiele wierszy naprawdę dobrych. Lecz dziś nie wystarczą nam już wiersze dobre. Oczekujemy w i e l k o ś c i, — oczekujemy czegoś, czego od lat nie było już w literaturze polskiej.

W każdym razie, wszyscy ci, którzy czują w sobie tę potęgę, aby trudną do opanowania, nie mogącą wyrazić wszystkiego formą słowa wypowiedzieć całą treść najsubtelniejszych drgnień duszy, powinni intensywnie pracować, dążyć ciągle ku wyższym poziomom, unikać tego, co ciągnie w dół.

Wszystkie liczne, a tak modne obecnie kierunki artystyczne, ugrupowania literackie, oparte na wytkniętym programie, na poetyckiej ideologji, zacieśniają tylko, ograniczają lub m a n i e r u j ą rozpęd twórczy. Prawdziwa indywidualność zniesie tylko te więzy, które nałoży sama sobie. Najwięksi poeci przeszłości odzwierciedlali w swej twórczości wszystkie prądy i hasła epoki, lecz nie reprezentowali żadnych literackich koteryj ani kierunków, których definicję omówiło kilku ludzi. Do możliwie szkodliwych rezultatów doprowadza się ów omówiony system kierunkowo - organizacyjny, jeżeli w konkretnym wypadku wystąpi zarysowany przejrzyście moment p o l i t y c z n y.

Najsilniejszym jednak hamulcem, największym wrogiem sztuki jest z a w o d o w o ś ć. Tworzenie dzieła artystycznego po to przedewszystkiem, ażeby je dobrze sprzedać, pisanie utworów poetyckich w taki sposób, aby podobały się szerokim masom i znalazły aprobatę redaktorów popularnych pism, praca artystyczna d l a z a r o b k u, jest publiczną sprzedażą, ordynarnym handlem najistotniejszemi wartościami duszy.

Na zawodową pracę literacką pozwolić sobie może człowiek tak p o p u l a r n y lub poczytny, — że pieniądze same mu płyną do kieszeni, a on może sobie robić co chce, tworzyć przedewszystkiem dla siebie, — lecz nie człowiek, który z trudem musi walczyć o byt materjalny.

Niechże raczej artyści będą z z a w o d u dziennikarzami, publicystami, profesorami gimnazjalnymi, dentystami, bankowcami — lecz nie artystami z zawodu. — Jeśli spadnie im z głowy materjalna troska o byt, zawsze znajdą tyle czasu, aby, gdy przyjdzie na nich odpowiednia chwila, zatopić się w ekstazie prawdziwego tworzenia, bez myśli o zaliczce z redakcji, udałym wieczorze recytacyjnym, ilości napisanych wierszy, za które zapłacą.

A wtedy tworzyć będą naprawdę — sztukę.

ZMROZONO TURŃ.

Tajniom pogwarnyk ubazeń,
cichościom ślepej Niewidy,
w oćmak taternyk upłazów,
z drentwy wywlekła oskrzydle,
przemini hurmom —
na końcak Tater
zmrozono turnia.
Hej — nie uwidzioł jej sadzawy ozwid.
ani jej słonko nie całowało,
kie w chmury gnało kyrdele ogni...
Hej — nie traciły hań piórek orlice!
Samučko — w cichość zadumanom skałom,
śmioła niebu zwodnica,
w królewskiem iście warg ozchyleniu....
Hulała spiywkom, muzykom i farbom.
jak gęśle złote wystrugane z słonka,
mocarnom
siwego mrozu krzesanicom. —
Jo jej nie widzioł — słysołek jej granie,
kajsi od Jaso-hory,
w przemienie widne dobranyj —
otupne granie... ślebodne tęsknicom,
jak te od mglicy oderwane stwory,
co sie po borak włócom,
gwarzom po turnic oplotak,
i na siklawak długo hucom.
w pohurmak złota... —
Jo jej nie widzioł, kiedyk seł pyrciami,
z hól i wykrotów piarnyk urwisk,
kie mie to straśnie dziwne granie,
niesło grzbietami turnic...
Kie mi na piersi holny wiater —
i w ocy proł obłędem, —
na dziwozony,
mienił mi grapy,
w przepaściak want, na żlebak i syndyl
zębice sioł i kwardź pazdurów...
Jo jej nie widzioł, kiedy mi w płucak gwizdało powietrze,
a w ocak spiek słonkowy ozogniol watrzyska, kie góry,
w pogwizd kurniawy tońcyły na wietrze,
i śmioły się hyrne w łyskawic ozbłyskak...
— Jo jej nie widzioł. —
Jaz mi do ocy buchnyna ślepotom,
w pozłoci iskier zmaznięty na próchno,
Miljon-set gęśli dzwonkowym hurkotem
miljon-set strunic...
zagrały w śniznym tońconcnym bezruchu
jaze mi wnuku ściena sie krew,
w ocak zaśklyły sie łuny. —
Wciołek jóm całóm przycisnonć do piersi,
w tyk złotyk strunic kondzieli —
zmrozonyk ogni skamieniałe pyrcie
ozgzoć, przytulić i — do cna spopielić...
zdusić jej włade. —
Scyrom sie na wiyrch... lece po nióm wieki,
po wiyrchak drzew —
na twardyk piersiak rukawice kładę —
cekom skońcenio, ze moze i dońde,
choć hań barz daleko...

Gustaw Suski.

MORSKIE OKO.

Gotykiem szarych linij w punkt biały miesiąca
Sterczy turń (stożków z gwiazdą lodowców) kąt ostry;
I elipsa jeziora w granitowych wieńcach
Lśni — klepaną powierzchnią srebra, jak łan astrów.
Wciąż potrąca ją łódką mgła, wiatr muśnie wiosłem...

Księżyc w toni, z jedwabiu topi biały więcierz
I cień kładzie na tali limba w kamień wrosła:
Z płynnem srebrem jeziora cień limby się pląc̨e...
Monotonnie się mienią światła, blaski, cienie...
Monotonnie drży serce skalnej piersi, białe,
Monotonnem mu serce odpowiada drgnieniem:
Rezonator stawiony na platformie skały.
Myśl marzy... w oczach głębię otwarło marzenie...
I gdy księżyc wysrebrzył pendzlem pejzaż cały,
W sen niebieski się w okrąg kraj szczytów przemienił:

W pałace z porcelany i rynek z kryształu.

Wincenty Hlouszek.

JESIENNY PORANEK.

Zapukał znów do okna, zakwitł na firankach,
I zbudził pocałunkiem ze snu, jak kochanka —
Przyleciał oto do mnie z daleka — z daleka...
Rozkoszną siadł pieszczotą na sennych powiekach.

W jesienną spłynął ciszę mojego mieszkania —
Legł przy mnie żywem ciałem na bieli posłania.
Zapłonął cały pokój rojem złotych iskier —
Takie wszystko dziś dobre, kochane i bliskie.

Oto przyszła dziś do mnie cicho w odwiedziny,
Radość sama, ubrana w słoneczne godziny.
A na biurku cichutkie, subtelne, jak pastel,
Umierają przez kogoś przysłane mi astry.

Stanisław Kaszycki.

Wybraniec Pański.

I zda mi się niekiedy,
żebym mógł
iść między ludzi, jak Pański wybraniec,
łzy ich osuszać i koić ich biedy —
przechodzić setką dróg —
świat przewędrować od krańca po kraniec
i u każdego opowiadać proga
świętą ewangelję słonecznego Boga — —

Poszedł *Gałuszka* między ludzi z wiarą „w wieczne odrodzenie dusz, w wieczny zmartwychpowstania cud", głosić świętą ewangelję MIŁOŚCI, — umiłowania Boga, Ojczyzny, Bliźnich, Przyrody, — wszystkiego, co Piękne, Wzniosłe i Prawe. Nie kłaniał się bogom karłów przyziemnych, lecz nieutrudzony pielgrzym dążył „mimo burzowy czas luty drogami ducha ku słońcu" — a stanąwszy przed „Wielkim Samotnikiem wśród gwiazd" błagał Go o wielką Miłość

„zdolną me serce palić i pożerać — —
o! nie o szczęście i nie o rozkosze —
Daj coś, za coby warto mi umierać!

Bóg wysłuchał modlitw, owinął mu „w płomień serce, w żar wielkiej Miłości", którą Gałuszka hojnemi garściami rozsiał w swych tomikach, by była chlebem powszednim wszystkich.



Józef Aleksander Gałuszka

Poezje Gałuszki należy czytać w skupieniu, nie ślizganiem oczu po kilkudziesięciu stronicach, czy bezmyślnym szeptem warg, ale czytać sercem, bo sercem są pisane.

A wtedy napewno przyjdzie na człowieka „chwila ogromnej, przeogromnej ciszy" — —

*

Elementami zasadniczemi twórczości Gałuszki są, jak już wspomniałem, głęboka religijność, szczery patrjotyzm, kult przyrody, humanitaryzm i ukochanie wybranej kobiety. Poszufladkowanie jednak jego utworów i rozdzielenie na jakieś wiersze religijne, patrjotyczne, czy erotyki, do niczegoby nie doprowadziło, najczęściej zaś jest wręcz niemożliwe, tak są te elementy silnym węzłem ze sobą spojone.

*

Wyszedł Gałuszka „ze zgnilizny i z pośród latających błot miasta, z pośród kanałów i kawałów, oszustw, dowcipów, biegów do mety dla pochwycenia pieniędzy, władzy i sławy". Na łonie przyrody, ściśle z nią zespolony i zjednoczony, czuje się szczęśliwy, czuje się jej cząstką, odnajduje w niej ojczyznę. Byle drzewo jest mu drogiem, że chciałby przylgnąć do niego i usta przycisnąć.

Uchylam przeto mego kapelusza
i tak na całe przestworze
wszystkiemu światu, spotkanemu ninie
krzyczę radośnie, aż śmieje się dusza:
Szczęść Boże! — Szczęść Boże! —

I tu na łąkach, w polach, w lesie odnajduje Boga:

Tu się spotykam z Tobą twarzą w twarz
w słońcu, we wichrze, w aksamitnej runi —
tu nad mem sercem nieprzerwanie trwasz.

Religijność Gałuszki przybrała — jak słusznie zauważono — kształt pewnego rodzaju mistycznego panteizmu w poczuciu jedności z Bogiem.

Niejednego krytyka raziła prosta, swobodna rozmowa Gałuszki z Bogiem, który sam wyprawia poecie i jego umiłowanej wesele, wpraszając się na starostę i „z dobrotliwym uśmiechem Swych źrenic, z pod udanie nastroszonych brwi" patrzy, jak baraszkują Jego zakochane dzieci. Lecz, czy nie lepiej serdecznemi słowy rozmawiać z Najlepszym Ojcem, niż wysyłać „siwiutkiego emeryta na pensję" lub szczycić się tem, że piękna przyrody uczuł kogoś „Dr. Pan Bóg", z którym po sprzeczce autor wyznań „jakoś się rozszedł" i już „nie zna się z tym Panem"?

*

Młodość swą sterał poeta w krwawej wędrówce po przeróżnych frontach kampanji wojennej, kiedy to żołnierz polski szedł w śmiertelne boje, nie wiedząc „za czyją i za jaką ginie sprawę".

Zaścielili gnatami twojemi pól ziemi —
ciało twe żreją kruki na krawędziach świata,
a ty walisz z rozmachem bagnet w piersi brata
i giniesz, powalony rękoma bratniemi ——

I tym „Bartkom polskim", ostatnim bohaterom z „Mte Pertica i Asolone" poświęca poeta kilka pięknych strof:

Nikt nawet waszych imion nigdy nie zasłyszy —
ani wam nędznych krzyży nie stawią na groby —
kruki zakraczą tylko głuchą pieśń żałoby
po ośnieżonych turniach pośród martwej ciszy — —
Znowuście szczodrze polskie otworzyli serce,
hojnie krwią swą bluznęli za obcą wam sprawę — —
w skonaniu wam zabiegły bólem oczy łzawe
jedna śmierć was zabrała wiecznej poniewierce — —

Śmierć poszukiwała poety pilnym telegramem, lecz telegram ten na front nigdy nie doszedł. Słyszał tam tylko często „jakieś echa — jak pieśni mej ziemi" — i widział przez łzy sieroty Ojczyznę, jej szkarłatną dolę, skronie umęczone cierniową koroną. I pisał z rezygnacją:

Widzę, jak do swych synów wyciągasz ramiona —
Chcę biec — przytulić do twojego łona
ale droga przede mną niezmiernie daleka — —

*

W wolnej Polsce wiózł poetę pociąg przez piękny krajobraz, nad którym gorzało

„słowo olbrzymie Ojczyzna,
przez Boga w miljonów napisane serca"...

I patrzącemu przez okna wagonu wyrywa się z głębi duszy piękny hymn:

„Hej ziemio moja nad wszystko miłowana
w świecie —
tyle trza było nędzy, tułaczej niedoli —
tyle lat zmarnowanych gdzieś na obcych
śmieciach,
tyle przytuleń piersi do cudzych jało-
wizn —
tyle nocy w strzeleckim przedumanych
rowie —
byś wykwitła w marzeniach najcudniej-
szym rajem,
ziemio moja ojczysta!"...

To uczucie miłości ziemi ojczystej wzmaga się ciągle u Gałuszki, by stać się dominującym tematem ostatniego tomu poezyj „Głosy Ziemi".

Umiłowanie ziemi znajduje swój znamienny wyraz i w erotykach, w których ukochanej tak spowiada się ze swej gorącej miłości:

„Twoje ciało pachnie glebą,
świeżo pługiem rozoraną
we wiosenne boże rano,
kiedy to od ziemi wnętrza
radość życia przenajświętsza
mocnym krzykiem bije w niebo...
...Wiosną pachnie twoje ciało,
wilgną wonią skiby świeżej,
co pod siew otwarta leży — —"

*

Ucieka autor „Głosów Ziemi" z miasta, bo:

„Przeklęte miasto swe macki polipie
wyciąga wszędy, dusi mnie i dławi —
myszkuje, jakby na pogrzebnej stypie
tęczowych świateł ciągnąc ogon pawi — —
I krzyczy, jeśli żer jakiś popadnie
swem skamieniałem, cyklopowem okiem —
wydrze łzy twoje, skryte w sercu na dnie
i zmiesza z brudem, z plugawym rynszto-
kiem — —

Stroni Gałuszka od miasta, od jego małości i podłości, ale w myśl przykazania Bożego umiłował jego ohydę, śledzi jego duszę, czy nie znajdzie „w rynsztokach pogubionych gwiazd". I znajduje w swem sercu jeno litość dla tych uliczników, którym życie — psiakrew! — kazało kraść węgle, by matkę wyżywić; dla robotników, co strajkiem domagać się muszą „powszedniego chleba". Pokazuje nam „Stójkowego":

„W dzień i w nocy na ulic rozstrzale
daszkiem lśniącym przybity by ćwiek,
w szyn przecięciu jak w ramach ze stali
stoi szary, beztwarzowy człek,
człowiek z liczbą na szarym kołnierzu:
cztery — zero — siedemdziesiąt — pięć —

albo „Motorniczego wozu Nr. 3", który:

„O ileż razy, mknąc na pełny prąd
w krańce przedmieści chciał wyjechać
z torów
na miękkie dale rozkwieconych łąk,
wtopionych w ciszę leśnego wieczoru — —

lub „brudnego rozkrzyczanego gazeciarza", co „precz odrzucony w nocy przedmieścia cień skulony wraca: nędzarz-bosonóg, owinięty w wiatr".

Wchłaniając w siebie i przeżywając te straszliwe tragedje ludzkie zdobywa się na silny, Kasprowiczowski ton w „Hymnie do Boga", którego zawsze uważał za najlepszego Ojca i Opiekuna.

Tylko bezgraniczne ukochanie Boga i miłość bliźniego mogła tę skargę wydrzeć z ust autora „Uśmiechów Boga". Lecz — zwątpienia w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże nie znajdziemy u Gałuszki! Inwalidom wojennym każe iść do Betleemskiej stajenki z wiarą, że Jezus malusienki odda im ręce i nogi, na ołtarzu miłości Ojczyzny w krwawej złożone ofierze.

Każe wszystkim, wedle Bożych przykazań, iść w znojnym trudzie, w drżeniu serc do „Potężnego, Wiekuistego Pana". On wie, co czyni! — przeto:

„Jeśli nas strącisz z niebios płuc dechem
olbrzymim,
jako glinę z Twych palców w tworzenia
dniu szóstym
niech będzie pochwalone Twoje wielkie
imię
na martwych, jak pieczęcie popękanych
ustach,
żeś nas zwalił jak ptaki ku Tobie lecące
drogami podniebnemi w Twoje serce:
w słońce!

*

Szczupłość ram artykułu nie pozwala na podkreślenie wszystkich cech twórczości Gałuszki, na uwypuklenie choćby bezgranicznej czci, jaką żywi dla swoich mistrzów pióra: Słowackiego, Wyspiańskiego czy Żeromskiego, bohaterów narodowych („Żółkiewski"), dla ukochanych artystów (Solski — „Wiarus z Warszawianki"), ludzi „przeczystego serca", jak Wyczółkowski, któremu ostatni tomik „w hołdzie złożył"...

Pragnę tylko jeszcze zwrócić uwagę na te kilka serdecznych wierszy poświęconych — Matce. Rzadko je znajdziemy, zwłaszcza u współczesnych poetów! — „a matka — matka, to rzecz święta", która niefrasobliwe gęby uliczników, prane od kołyski pięścią przez ojca lub podbijane kułakiem przez stójkowego „całuje zawsze z uczuciem jednakiem" i biednym chłopakom „przy lampce kopcącej zeszywa portczęta późno, późno w noc"...

Dzieckiem był Gałuszka, gdy stracił matkę, której poświęcił piękne strofy, niedawno na konkursie Krak. Koła T. N. S. W. nagrodzone; dzieckiem był, mało zaznał matczynych pieszczot i może dlatego taka głęboka zaduma, powaga a nawet smutek spowiły jego wiersze. Wyjątek stanowią jedynie „Uśmiechy Boga", ofiarowane ukochanej kobiecie, pojętej najidealniej i najczyściej. Ona koi sieroce serce i duszę, a oczy tej „pięknej dziewczyny patrzą, jak oczy zmarłej matki poety.

Stanisław Witold Balicki.



Mocne jest wino życia — świetne jego blaski, —
Każde jutro rozbłyska nieznaną przygodą.
Na morzach południowych, w pustyniach Alaski,
Wszędzie, kędy uderzy serce wiecznie młode.
Dźwiękami srebrnych młotów walą w skroniach
tętna,
Krew jasna kipi warem, grzmi rozdzwonną pie-
śnią,
Dni przyszłe się spiętrzyły i krzyczą namiętnie,
By chłopięce marzenia w czynie ucieleśnić!

Romantyzm prawdy życia — surowy i twardy.
Bohaterstwa i klęski wiecznych szczęścia łowców,
Poezja dróg przebitych mozolnie oskardem,
I braterstwo na szlaku spotkanych wędrowców.
W okrutnych garściach wichru, śnieżycy i mrozu,
Pod wielką zórz północnych rozkwitą koroną
Pędzimy za przygodą ze skrzypieniem płozów,
Po śnieżystych zawałach zmarzłego Jukonu.
Wieczorem w kręgu ognia, poświacie księżyca,
Ślepią krwawe źrenice, półdzikie wilczary,
I grzmi pieśń ich żałosna, tęsknoty niesyta,
Zew krwi, łowów i wspomnień o bojach prasta-
rych.
To znów—srebrna błękitność morza statek huśta,
Ławice koralowe — palmy na atolach —
Czarne twarze krajowców — białe żagli płótna,
I u pasów błyszczące rewolwery Colt'a.

Aż wreszcie, kiedy oczy napatrzą się do cna,
Płomienne żądzą serce do reszty ochłódnie,
Wydarzy się ostatnia — cudownie urocza
Przygoda wszelkich przygód...
— W niemy żar południa.
O tysiąc mil od lądu, z białego szkunera
Popłynie — opuszczając rozkosze i biedę —
Do wielkiej wyspy ciszy — do ukojeń brzegów,
Tuląc morze w ramionach krzepkich —
Martin Eden.

Jan Kazmierz Zaremba.

Ostatnia noc Samuela Zborowskiego.

Ściany głębokiego lochu poznaczone są wilgocią.

Na płytach podłogi kraty wąskiego okna kładą cmentarzysko małych krzyżyków.

Srebro pada z księżyca i ścieka do kaźni.

W szarzyźnie półmroku znajduje pochyloną, senatorską głowę.

Bezwietrzna pustka nie płoszy myśli.....

Z piersi dobywa się westchnienie. Zmęczone powieki unoszą się ku górze i ukazują patrzącym oczom ściany głębokiego lochu.

Płochliwa wyobraźnia ucieka przed rzeczywistością. — Znów opadają powieki.

Strudzona dusza widzi inną noc miesięczną:

— W takt kolebania się podjezdka błyszczy szerpentyna w jaszczurowej pochwie. Blade promienie rozpryskują się w bogatem trzęsieniu i migocą blaskiem przyszłej chwały.

Za młodym jeźdźcem cicho nucą podręczni—

Zapalają się oczy: w nuceniu tem słychać poszum możliwej wielkości:

Mądre dęby zdają się mówić: tyś taki jak my, wrosły w ziemię ciałami możnych ojców, wsparty na pniu tężyzny i siły, rwać będziesz wyniosłemi konarami w jasny błękit. Albož zmoże cię powiew najsilniejszego wichru, alboż powali cię stal czyjego narzędzia?!

Wyprostował się jeździec. Hej, rumaku, nieś mnie kędy zapragnie tego moja wola!

Poniósł rumak jeźdźca.

Z narastaniem lat narastały nań zaszczyty. Jak równy na równego patrzył na najpierwszych w Rzeczypospolitej mężów. Liczne włości kładły mu u nóg bursztynowe plony. Cierpliwe kłosy łuskały swe ziarna, by na nich mógł piąć się wyżej. Nieś mnie rumaku dalej, dalej!...

Tam, w cichem zamczysku, została młodość niesforna, buńczuczna. Ileż to razy domowy preceptor przytrzymywał prędkie ramię, mówiąc: „Nielza Samuelu!"

Krzywiły się młodociane wargi — „Mnie nielza, mnie, Zborowskiemu!?"

Preceptor uśmiechnął się gorzko: — nie zdołał ujarzmić dumnej duszy.

Nie ujarzmiła jej też pani matka, ani żadna podwika!

Aż przyszedł dzień w którym potknął się rumak.....

Obficiej potem okryło się wyniosłe czoło; niżej opadła głowa na szerokie piersi.

Źrenice nie chciały widzieć poniżenia kaźni. Ale nie umiały uciec przed tem, co jest.

Gdzież są ci panowie, z którymi obiecywał zwalczać absolutum dominium?

Niema ich: — rzucili go na pastwę zagniewanego hetmana...

Nie słychać nic. Uszy chciwe ludzkiego głosu i szczęku oręża, daremnie czekają na szmer najlżejszy. Nikt odbić go nie przybywa. — —

Ręka zadrżała. Zaciśnięta pięść odczuwa jeszcze drzewce czekana. Hej! Lśni jeszcze w słońcu wzniesiony. — A potem ściekająca krew zmywa na nim słoneczne złoto.

Na zamkowym piasku, kasztelan przemyski leży rozciągnięty...

Czoło ma zakryte czerwoną pieczęcią, zamykającą dużą kroplą dzieje ich zwady. —

Jeszcze brzmi cichy szept, który on tylko słyszał w śmiertelnym zamachu: „Nielza Samuelu!"

Lecz nie wstrzymało się ramię: „Mnie nielza mnie, Zborowskiemu?"

Miesiąc z milczącym uśmiechem zagląda w zakratowane okno. — Jeszcze niżej chyli się wyniosłe czoło. Zapadły w sen zmęczone oczy.

Zgrzytnęły kowane wrota.

Zaliż to wierni towarzysze przyszli zbrojną ręką ratować jego dumę?

W szarym prostokącie stanęli pachołkowie śmierci.

Józef Maurycy Drużbacki.

MIECHÓW.

Ranek słoneczny dziś mnie bzami owiał,
kwitnących kiści — dziewczętami lila. —
Po trotuarach wiatr gorący powiał.
jak owa dawna, słodka dreszczem chwila.
Gimnazjum. — Wiersze. — Pod pachą Słowacki,
i pierwsza miłość: rendez-vous gdzieś w bramie...
Akacje kwitną w podwórkach śnieżyście,
a w sercu cicho, jak w błękitnym chramie.
Minęło. Przeszło szeroko, buńczucznie,
a dziś dnie idą szalone bez śmiechu. —
Ach! Jaka szkoda, że nie jestem uczniem,
i na mych ścieżkach nie rozkwita — Miechów.

Teofil Kowalczyk.

W sprawie katedr
polskiej literatury współczesnej.

Pod tym samym tytułem zamieściłem przed rokiem w „Głosie Prawdy" (literackim) artykuł, domagający się ustanowienia na naszych uniwersytetach katedr polskiej literatury wspóczesnej. Zabierali naówczas przede mną głos: znakomity pisarz Juljusz Kaden Bandrowski, oraz Jan Nepomucen Miller. Niestety, podobnie, jak wszystkie najżywotniejsze sprawy literackie, i tę powołane czynniki pominęły milczeniem.

Znaczenia takiej katedry nie docenia się u nas i zbywa argumentami śmiesznemi, nie wytrzymującemi krytyki.

Nie chodzi mi w tej chwili o udowodnienie przeciwnikom katedry literatury współczesnej, że stanowisko ich jest niezrozumiałe. Pragnę tylko jeszcze raz stwierdzić, jak wielka potrzeba utworzenia takiej katedry za nią przemawia. Niechaj przemówi tu samo życie, domagające się zmian, w systemie dotąd zachowanym i pilnie strzeżonym, nawet przez nasze powagi naukowe.

Człowiek, któremu na uniwersytecie dużo mówiono o Kochanowskim, Potockim, Krasickim, a skończono na Krasińskim, ledwie wspominają o późniejszych pisarzach, o ich twórczości, przychodzi do gimnazjum, gdzie musi wykładać uczniom czasy pozytywizmu, mówić o Sienkiewiczu, o Żeromskim i o Reymoncie. Nie wie, jak się do tego zabrać. Rezultat: wygłasza niejednokrotnie rzeczy horrendalne. O twórczości pisarzy młodszych nie ma niejeden nauczyciel gimnazjalny pojęcia, głosząc np. takie brednie: wszystko, co napisali poeci po roku 1920, bez wielkiej dla naszego piśmiennictwa szkody, można śmiało spalic. Dla niego twórczość młodego pokolenia pisarzy nie przedstawia wartości. Co więc dzieje się w gimnazjach?

Uczniowie przeważnie nie mają zaufania do swego polonisty, odnoszą się do niego częstokroć wrogo. Sami czytają, szperają i, kiedy tylko nadarzy się sposobność, „wsypują" biednego nauczyciela, któremu dużo mówiono o wszystkiem, ale zapomniano powiedzieć o rzeczach dla dzisiejszego pokolenia bardzo ważnych. Żeby chociaż dano sposobność do krytycznej pracy nad literaturą współczesną! Wałkowano jedno i to samo miesiącami, latami. Rozdawano prace seminaryjne o Potockich, Paskach, a sensacją było, jeśli kto otrzymał pracę np. o Sienkiewiczu. — O Wyspiańskim nie wykłada się, ponieważ... niema opracowań specjalnych. A nam wydawało się zawsze, że profesor uniwersytetu może opracowywać daną kwestję i jednocześnie o niej z katedry mówić. Czyż dlatego jest profesorem, żeby obkładał się „przyczynkami", „przyczyneczkami", jednem słowem gromadził opracowania i, na nich opierając się, przystępował do wykładów?

System obecny na uniwersytetach wypuszcza matołków naukowych, którzy znowu tworzą matołków w gimnazjach. Należy utworzyć przynajmniej kilka katedr literatury współczesnej. O nie domagamy się. Milczenie powołanych czynników, powag profesorskich, zachęca nas tylko do dalszej walki. Nareszcie trzeba skończyć z konserwatyzmem naukowym. Nie twierdzimy, że nie należy studjować literatury lat dawnych. Podobne twierdzenia wygłaszać mógłby tylko człowiek głupi. Ale w obecnych czasach, kiedy niemal dzień każdy przynosił nowe wartości twórcze, kiedy życie biegnie w szalonem tempie, stworzenie katedr polskiej literatury współczesnej jest potrzebą chwili. Spełnienia jej domagamy się.

Mieczysław Wojtaszewski.

KINO.

Coś niecoś o filmach polskich.

Poruszę dzisiaj temat poważny a trochę smutny. Będę pisał o filmach polskich.

Rozmaicie się powyższą kwestję omawia, różnie się o niej pisze. Istnieją pewne odłamy krytyki i prasy filmowej, które stojąc na straży interesów wytwórni i biur filmowych, w reklamiarski sposób wynoszą pod niebiosa każdy polski film, gdyż na tym punkcie kasowo są zainteresowane. Istnieje gazeciarska, domorosła krytyka, pełna zawsze bezkrytycznych zachwytów nad polskością i swojskością różnych Iwonek, Chat za wsią, Karczem na rozdrożu i innych krynic narodowego obyczaju. Istnieje też kultywowana przez zainteresowane czynniki celowa propaganda różnych filmów lotniczych, gazowych, lub też umoralniających — przez uświadamianie publiczności przed różnemi przypadkami, temi o których się nie myśli, a które nieprzewidującym osobnikom na śliskiej drodze życia łatwo zdarzyć się mogą. Pozatem istnieje, bardzo zresztą słaba, krytyka rzeczowa, reprezentowana głównie przez niektóre organizacje literackie w Warszawie, krytyka, która w przeciwieństwie do omówionego przed chwilą typu krytyki, stosuje względem filmów polskich bardzo surową ocenę, odsądzając je częstokroć, od godności filmu wogóle.

Nie będę tutaj wspominał o takich uwagach i pospolitych sądach, jak te, że filmy polskie są naogół **Trędowate,** że polska muza kinowa romansuje ciągle z **Panem Główniakiem,** że na scenarjusz kinowego obrazu polskiego składa się zazwyczaj kilku apaszów, podmiejska spelunka, uwiedziona dziewczyna, demoniczny amant, modny dancing, szarża ułanów, trzech zdegenerowanych bolszewików i chałupa na dalekich kresach polskich. Artystów teatralnych, którzy występują zazwyczaj w filmie polskim uważa się za materjał bardzo nieodpowiedni kinowo, a jeżeli się kogo pochwali, to tylko Gniazdowskiego i Wywerkę, bardzo zdolnych operatorów.

Takie krytyki, oraz różne refleksje na temat „Tajemnicy starego narodu" lub niedołężnej ilustracji filmowej Pana Tadeusza uważane są przez pewne koła za dowód niepatjrotyzmu, za postępki nieetyczne i niewłaściwe, szkodliwe dla przemysłu polskiego, godne rozprawy przed kratkami sądowemi, co się zresztą czasem zdarza. Wogóle w Polsce nie można pisać o filmie krytycznie. Film uważany jest za produkt przemysłu fabrycznego, jako taki nie może podlegać żadnej subjektywnej krytyce. Gdyby ktoś, napisał w gazecie artykuł o tekturowych podeszwach wytworów firmy Marco, naraziłby się, słusznie zresztą, na wytoczenie mu procesu przez zainteresowaną firmę, jako że celowo działa na jej szkodę. Mniejwięcej to samo może spotkać surowego sprawozdawcę kinowego.

Z drugiej jednak strony, należy przyznać, że zbyt ostre wymyślanie na filmy polskie nie jest sprawiedliwe. Trzeba przecież uwzględnić smutny stan przemysłu filmowego w Polsce ze zwględu na brak odpowiednich kapitałów, finansów a obfitość srogich podatków magistrackich. Wytwórczość krajowa nie może sobie pozwolić na kręcenie filmu wystawowego, na sprowadzanie zagranicznych sławnych gwiazd, natomiast często musi ratować swoją egzystencję filmami kasowemi, w stylu **Trędowatej.** Zły scenarjusz, to bolączka większości filmów, produkowanych przez największe nawet wytwórnie świata. A zresztą nie wszystkie filmy polskie były słabe. Były i takie, które stanać mogą na poziomie wysokiej zagranicznej klasy

Były **Wampiry Warszawy,** pierwszy polski film, odznaczający się pomysłową reżyserją, **Czerwony Błazen,** dobrze grany i wykonany film senzacyjny. Była barwna i mimo różne naiwności scenarjusza, interesująca **Iwonka,** w grottgerowskim rysunku stylizowany **Huragan** Jerzego Brauna, była wstrząsająca w swym realiźmie, dźwięcząca szlachetnym patosem **Mogiła nieznanego żołnierza,** film o klasie naprawdę europejskiej, a nawet **Pan Tadeusz** w realizacji Ordyńskiego, mimo duże usterki nie może być uważanym za próbę chybioną i nieudałą.

Specjalną opieką powinniśmy otoczyć naszą krajową wytwórczość, przez konsekwentne popieranie filmów polskich, przez sprawiedliwą ocenę, słuszną krytyke a nie złośliwe wymyślanie, doprowadzimy jednak z czasem do tego, że będziemy się mogli chlubić polskim filmem, jak chlubimy się polskim teatrem i polską literaturą. Nie wątpię, że w przyszłości będziemy oglądać więcej dobrych filmów, których tłem będzie malowniczy polski krajobraz, skaliste Tatry lub nastrojowe fragmenty architektury krakowskiej. Jestem przekonany, że kiedyś pęknie ten **Martwy Węzeł,** film polski przestanie być **Niewolnicą miłości Trędowatej,** porzuci prowincjonalną **Chatę za wsią** i od **Przystanka tramwajowego** pójdzie w szeroki świat jak **Huragan,** a kiedyś błyśnie mu **Uśmiech losu,** osiągnie swą **Ziemię Obiecaną** i przestanie nareszcie być **Tem o czem się nie mówi.**

Na marginesie „Pieniądza" L'Herbiera.

Rozedrganym rytmem XX wieku tętni ostatni film wielkiego L'Herbiera, twórcy L'Inhumanie — **Pieniądz** Dramat pod powyższym tytułem ilustruje wiernie zmechanizowane tempo współczesnego życia, szalony wyścig pracy maszyn, mózgów, rąk, — zdażających do jednego celu, jakim jest pieniądz, potężna siła rządząca światem, podstawa każdego zamierzenia, każdego działania, wszechpotężny pieniądz, za który jednak — nie wszystko kupić można.

Jedynie dzięki fotomontażowym trickom, dzięki technice nakładania kilku zdjęć na jeden obraz, dzięki przemyślanej reżyserji, potrafił jedyny właściwie eksperymentator ekranu, Maurice L'Herbier, osiągnąć tak niezwykłe efekty, — efekty męczące oczy, denerwujące, lecz potężne, silne, na jakie jedynie kino zdobyć się potrafi.

Patrząc na ten kalejdoskop ścigających się nawzajem, przecinających, pokrywających się obrazów, skrótów, fragmentów, wycinków, obrazów zdejmowanych przez kamerę w ruchu, — przeżywało się uczucie istoty błyskawicznie przerzucanej z miejsca na miejsce po wszystkich zakątkach olbrzymiego, rozfalowanego miasta, tętniącego ruchem i pracą. Najautentyczniejsza rzeczywistość wirowała w oślepiającym stożku prożektora.

Emocjonujące sceny startu do lotu atlantyckiego były potężnym hymnem techniki i postępu, dźwięczały patosem bohaterstwa i odwagi najśmielszych zamierzeń. Denerwowały sceny naprężonego bezruchu tłumów w ulicach, giełdzie, gmachach publicznych, tłumów czekających na wieść o wyniku szalonej próby pokonania oceanu, na wieść głoszoną przez wszystkie radjowe głośniki świata.

Najbardziej szalonym rytmem drgały jednak sceny z życia wielkiej giełdy, sceny nowożytnego sabbatu opętańców tańczących wokoło Molocha współczesności Pieniądza, w takt błyskawicznie skaczących kolumn magicznych cyfr.

Emil Zola nie był wcale Jules Vernem, toteż umierając nie przewidywał wcale lotów transatlantyckich i innych rewelacyj awangardy postępu. Powieść jego jest tylko luźną kanwą, na której reżyser wysnuł geometryczny deseń swego modernistycznego filmu. Naogół jednak daje się zauważyć, że filmy eksperymentalne odznaczają się naogół słabym lub nieudolnym nawet scenarjuszem. Tak było z **Nieludzką,** tak było z **Metropolisem,** tak jest z **Pieniądzem.** Akcja rozwlekła, nieskoordynowana, rozprasza się w kilku kierunkach, miejscami nikła, nie wykazuje jednolitej budowy i celowego, absorbującego uwagę, rozwoju. Dlatego, gdyby nie bogactwo form optycznych, film mógłby się wydać poprostu nudnym.

Na tle rozgorączkowanego życia giełdy, charakterystycznie zarysowała się postać potentata finansowego Saccarda, dążącego do zdobycia miljonów bez względu na środki, które go powioda do celu, bez względu na etykę. Natomiast postac jego przeciwnika, w interpretacji Alfreda Abla, znanego z wielu urbanistycznych filmów niemieckich, typ fantastyczny finansisty-idealisty, obalającego przeciwników, którzy doszli do majątku przez krzywdę i wyzysk — wypadł trochę blado. Niesamowita Brygitta Helm stworzyła najlepiej jej genre'owi odpowiadającą kreację wyrafinowanej kokietki, sfinksowatego vampa, w wytwornym, wcale nie melodramatycznym gatunku. Może ktoś jej zarzucić, że jest jednostronna. Słusznie, ale z drugiej strony trzeba zważyć, że żadna z gwiazd ekranu nie potrafi stworzyć tak błyskotliwego typu perwersyjnej Alraune z wielkiego świata. Na specjalną uwagę zasługiwały jej excentryczne toalety; nie widziałem drugiej artystki ekranu, ubierającej się tak efektownie. Toalety Brygitty Helm, subtelnie podkreślają jej demoniczną urodę, i, — co we filmie rzadko się zdarza, — zharmonizowane są ze wszyskimi przedmiotami. Każda otomana, — na której Brygitta Helm ma ochotę przeciągnąć się w odpowiednim momencie, tygrysim, wyzywającym ruchem, — formą i deseniem dostosowana jest do toalety artystki; tak samo stylizowane są wnętrza wszystkich pokojów i buduarów, które były tłem, nie wielu zresztą scen, w których w omówionym filmie, brała udział ta niepokojąca artystka.

Zygmunt Leśnodorski.

Wołamy na alarm!

„Przystępując do pierwszego zbiorowego wydania dzieł Stanisława Wyspiańskiego" — wiele nam obiecywał „Instytut wydawniczy Bibljoteka Polska". Po pięciu niestarannie wydanych już tomach tragedyj miały pójść tomy z fragmentami dramatów i przekładami, z lirykami i rapsodami, następnie proza, wreszcie nieznana dotąd „Korespondencja" poety. Tymczasem w świeżo wydanym piątym tomie tragedyj oświadczają wydawcy, że się „rozstają" z tem dziełem, a przynać im trzeba, że się rozstają z lekkiem sercem, nie spełniwszy przyjętego na się obowiązku wobec czytającej publiczności, jeśli pominiemy poetę, któremu wyrządzono zresztą krzywdę zaraz pierwszym tomem.

Zadziwiającem jest, że sfery literackie jakoś obojęt nie przyjęły do wiadomości ten fakt, świadczący o braku pietyzmu dla naszych duchowych wodzów z czasów niewoli i jakiegokolwiek poczucia moralnej odpowiedzialności i obowiązkowości. Trzeba wołać na alarm!

Podobnie ma się rzecz i z monografjami o Wyspiańskim. Nie posiadamy ani jednego rzetelnego opracowania jego twórczości. Poczynają się nawet pojawiać wprost dziecinnie pisane książki o jego dziełach. Do nich zaliczyć należy pracę Barbary Haliny Zielińskiej pt. „Legenda I i II Stanisława Wyspiańskiego". (Warszawa — Dom Książki polskiej 1928). Słusznie powiada autorka, że mało jest opracowań Wyspiańskiego „dobrze napisanych i odpowiadających wszelkim wymogom, zaznacza, że „nie rości sobie bynajmniej pretensji literackiej". To ostatnie zdanie świadczy mimo wszystko o wielkiej zarozumiałości!

Książka p. Zielińskiej, napisana chaotycznie, stylem wprost nieudolnym, sztubackim, roi się od błędów, nieścisłości i „geńjalnych" sądów. Autorka „Legendy" dobrze nie rozumie.

Powiada p. Z. we wstępie, że „praca, niekiedy zaś traf szczęśliwy, doprowadziły ją do wyszukania źródła, skąd Wyspiański się (sic!) zapożyczył". Tym „zapożyczeniom" poświęca dużo miejsca, uważając „wpływologję" za nieodzowny warunek dobrej krytyki literackiej.

Więc — naprzykład — stanowczo „Legenda" pisana jest pod wpływem „Lilli Wenedy": „Tu i tam napad obcych przybyszów na spokojny lud". W „Legendzie": „po przeciwnej stronie nie walczy wielu rycerzy. Podobnie i Lechici nie są w wielkiej liczbie. Wszak Lech mówi do Gwinony: „Rycerzy moich garsteczka maleńka" — „Bitwę tu i tam oświetlają błyskawice" — wprawdzie — „z tą tylko różnicą, że w „Legendzie" pioruny i błyskawice przynoszą zwycięstwo Wandzie, gdy w „Lilli Wenedzie" Lech oczekuje na nie, jak na sprzymierzeńców". (Szkoda, że autorka nie wyliczyła wszystkich sztuk, w których w czasie walk są błyskawice i pioruny!).

Słowacki mówi o dwunastu ludach Wenedów, które walczyły przeciwko Lechitom. Wyspiański również wspomina, iż po stronie Wandy walczy niejeden lud: Aż wycięli w pień ludy walczące... Pośpione leżą moje ludy?".

Przedewszystkiem bohaterka „Legendy" podobna jest do Rozy Wenedy: „cechuje je wspólna władza przestawania z duchami zmarłych:

Roza: „Kości z pobojowiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy
. . . .
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic.
Żywi się pomieszają z umarłemi"...

Tak samo Wandzie pomagają rusałki i budzą do walki poległych rycerzy, co stwierdza Łopuch:

Poległe wstają męże,
i idą kędyś w sionki;
siekiery biorą i pawęże? —
Powstają, — budzą je Dziwonki? —".

Chyba wszystkich czytelników te „druzgocące" cytaty przekonały o „bezwzględnej słuszności" autorki, przeto ich nie komentuję; nie mogę się tylko oprzeć chęci udowodnienia, że „najgroźniejszy" ostatni argument jest przynajmniej nieścisły, a polega na złem wczytaniu się p. Z. w utwór poety.

Rusały i wodniki, wkradłszy się do grodziszcza, by unieść zewłok Kraka, którego krwią chcą się nasycić, budzą wprawdzie pobitych rycerzy, ale tylko poto, aby ich jako ofiary zabrać ze sobą na dno rzeki. Łopuch wyraźnie mówi, że Dziwonki nietylko budzą poległych rycerzy, ale i

„schylają się nad oręźniki,
do ust im dają ssać lubczyki,
i pieszczą, jako żonki — ?! —".

Znajdziemy ich potem skamieniałych, mułem wodnistym pokrytych, na dnie Wisły razem z Martwicą — Krakiem. I nigdzie ani jednym słówkiem nie jest powiedziane, że oni „pomagają" Wandzie.

Inne sądy też na podobnych nieścisłych lub śmiesznych przesłankach są oparte. Nie chcę mnożyć cytatów!

Wszak lepiej takich monografij nie pisać, nie wydawać, bo wprawdzie znajdą czytelników w sumiennych badaczach Wyspiańskiego, ale znaczenia żadnego mieć nie będą.

Aleksander Ław.

Ś. p. Marjan Sewi

Przed kilkoma dniami zmarł w Krakowie młody i utalentowany poeta Marjan Sewi. Zmarły był przez szereg lat członkiem poetyckiej grupy młodych „Heljon", po rozwiązaniu zaś tego związku, należał do zawiązanego przez kilku byłych członków „Heljonu" Koła art. literackiego „Litart". — Był również jednym z założycieli i najgorliwszych współpracowników „Gazety literackiej", wydawanej przed paru laty w Krakowie. W ostatnich czasach, dręczony ciężką chorobą piersiową, odsunął się od wiru życia świata literackiego, pisząc na uboczu szereg utworów, ogłaszanych na łamach dzienników krakowskich.

Ś. p. Zmarły nie należał nigdy do tych poetów, którzy gonią jedynie za efektem lub rozgłosem. Pisał niewiele, lecz wszystkie Jego utwory odznaczały się głęboko przemyślaną treścią wewnętrzną i starannie opracowaną formą. Twórczość Jego cechowało głębokie zamyślenie oraz smutek człowieka, którego straszna choroba usuwała z kręgu rwących się do życia i walki o swe ideały młodych.

Nad świeżą mogiłą przedwcześnie zmarłego poety wyrażamy głęboki żal, że nieubłagana śmierć nie pozwoliła Mu kontynuować Jego pięknej pracy.

Z. L.

Redaktor naczelny i wydawca: **Mieczysław Wojtaszewski.** Redaktor odpowiedzialny: **Jan Kazimierz Zaremba** (Krowoderska 8).
Drukarnia Przemysłowa w Krakowie pod kier. Tadeusza Zakulskiego.